ROK CZWARTY.

№ 26.

WARSZAWA

D. (14) 26 czerwca

1859.

Niedziela

Między Oktawą Bożego-Ciała.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15, Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Spraw Panie, iżbyśmy świętego Imienia twego bojaźń również i miłość w sobie zawsze mieli; albowiem rządy twéj Opatrzności nigdy bez pomocy tych nie zostawiają, którzy stale dar miłowania Ciebie przechowują. (Kollekta na Niedzielę między Oktawą Bożego-Ciała.)

Dwa wozy.

—

W chacie Bartłomiejowéj raniutko rozpalono ogień; dwoje dzieci już rozbudzonych jadło kartofle na ławie, a starsza dziewczyna wraz z matką ładowała na wóz stojący przed progiem, mleko, śmietanę, sér i masło; bo to był dzień piątkowy, targ w Warszawie, chciano więc spieniężyć tygodniowy nabiał. Matka szeptała pacierz, córka śpiewała pieśń nabożną, spoglądając raz poraz na chatę sąsiadki Małgorzaty, która również zajęta, krzycząc i złorzecząc, ładowała aż dwa wozy mlekiem i śmietanką.

Dziewczyna krzątała się z niezwykłą radością, ugotowała wcześniéj jak zwykle ojcu i dzieciom śniadanie, uprzątnęła izbę, ogarnęła się żwawo, bo dziś pierwszy raz miała jechać z matką do miasta, miała zobaczyć Warszawę i ową Żelazną-Bramę, o któréj słysząc tyle od matki i od Małgorzaty, utworzyła sobie zniéj w myśli jakiś zamek, jakiś gmach pełen ludzi i cudów. Wszystko więc było z tego powodu w poruszeniu: Bartłomiej zaprzęgał konia, Bartłomiejowa urządzała domostwo na cały dzień, dzieci pytały, czemu matka Basię zabiera z sobą do miasta, kto im bez niéj nagotuje klusków, a Basia wśród kręcenia i roboty wynalazła sobie chwilkę czasu, aby wybiedz na łąkę i zerwać kilka ślicznych maków do przyozdobienia chustki i głowy.

Właśnie wracając z pękiem makówek, spotkała matkę w progu izby.

— Basiu, rzekła kobieta, spodziewam się, że od dziś przestaniesz mnie pytać, dlaczego od moich dwóch krów nie mam tak jak Małgorzata od swoich, dwóch wozów mleka.

— Jakżesz nie mam pytać matulku, odrze-

kło dziewczę, spojrzyjcie sami: przed sienią Małgorzaty dwa wozy pełne blaszanych dzbanów i to prawie samej śmietanki; co parę dni jeździ do miasta, co parę dni przywozi dużo pieniędzy za nabiał, chociaż tylko tak jak my, ma dwie krowiny i nic więcej.

Kobieta wstrząsnęła głową.

— Dobrze, odpowiedziała; nie widziałaś też często Małgorzaty, jak wróciwszy do domu, klnąc i mrucząc, chowała do komory niesprzedany towar; nie widziałaś jej też czasem, jak zajechawszy przed chatę z próżnemi furami, a z pełną kieszenią, zsiadła z wozu z ponurą twarzą, nie ciesząc się ani śmiejąc do dzieci, które do niej przed sień wybiegły?

— Prawda matulku, widziałam i dziwiłam się temu.

— Uśmiech i pogoda na twarzy zwykle są znakiem czystego sumienia; pamiętaj córko! lecz nie o tem mowa. Znasz Małgorzatę i jej towar, jakim jest tutaj, ja ci pokażę ją i jej towar w mieście; tam ocenisz jedno i drugie, kiedy jedno i drugie pójdzie pod sąd kupujących.

Dla wykrycia prawdy, biorę cię dzisiaj z sobą do Warszawy, korzystaj więc i bądź tam uważną; teraz zaś zawięzuj chustkę, zabierz jeszcze te dwie gęsi do woza i siadajmy.

Dziewczyna lekka jak łania w oka mgnieniu wykonała rozkaz matki, i wnet Bartłomiejowa z biczem w ręku siadła na wózek, powożąc sama, Basia zasiadła wyżej na słomie, śród pęków makówek purpurowych, do których Jasiek i Anka stojący przed progiem wyciągali ręce.

Dobra Basia rzuciła dzieciom z woza po kwiatku i pozbawiona cząstki swej równianki, lecz szczęśliwa i wesoła patrzyła z uśmiechem, jak mały braciszek i siostrzyczka zbierali radośnie upadłe na ziemię kwiateczki.

Wóz zwolna się pomykał, kasztanek ulubiony konik Bartłomieja chętnie słuchał i jego żony, wołającej od czasu do czasu:

Wi mały!

Kiedy mijali chatę Małgorzaty, sąsiadka stała właśnie przed sienią i przyglądając się ślicznej Basi, zawołała:

— Już jedziecie? wam łatwiej wybrać się jak mnie z dwoma wozami; zobaczymy się niedługo za Żelazną-Bramą.

Bartłomiejowa skinieniem pożegnała sąsiadkę i skręciła na trakt pomiędzy topole.

Któż z nas niezna Żelaznej-Bramy, tego miejsca codziennych targów, złożonego z placu czyli obszernego rynku i wielkiej budowy, nazwanej pięknie, prawdziwie narodowo *gościnnym dworem*, gdzie kmieć znosi swoje produkta i rozkłada je na wozach, stołach lub na ziemi? Są jednak dla Żelaznej-Bramy dnie uprzywilejowane, wtorki i piątki. W tedy to targi dochodzą do większych rozmiarów; plac na nie przeznaczony zapełnia się włościańskiemi furami, przebiegłe żydki kręcą się pośród nich, wykupując tłuściejszy drób', tańsze owoce i mleczywa. Panowie, panie przychodzą tłumami, niejeden powóz się przemyka, wszyscy dążą w to ognisko ludowego handlu. Kapoty kmieci, kaftany, chustki, bursztyny i korale włościanek charakterystyczny tworzą obraz, pełen narodowych rysów, tak odmiennych od sztywnego niemca, w czapie z dużym rydelkiem sprzedającego na wozie sér holenderski. Śród tych żywiołów swojskich i obcych, zgromadzonych w punkcie codziennego handlu spotykamy różne jeszcze postacie ludzi. Miejska przekupka z czerwoną twarzą, w czubatym czépku schowana pod spłowiały parasol rozpostarty nad straganem, tłum dziewcząt służących w czystych sukienkach, przy fartuchach i z koszykiem na ręku, porządne gosposie i strojne panie tworzą znów całkiem odrębną gruppę, śród której wydatnieje tłusta rzeźniczka, smażąca pod pompą kiszki i podająca je na glinianych miseczkach drwalom, kmieciom, robotnikom. Gromada warszawskich uliczników, gotowych zawsze znaleść na ziemi zgubione pieniądze, towarzyszyć lub biegnąć, gdzie się biją lub gdzie się pali, i gdzieniegdzie oparty o ścianę dziad ubogi, niewidomy starzec, dawny okaleczały żołnierz, cały zastęp żebraków czekający w milczeniu, czy jaki grosz, jaki kawałek chleba z tego zbiegowiska ludzi, zysku, przemysłu i pracy nie spadnie w ich ręce już niezdolne do roboty, dopełniają tego obrazu.

Czynność, ruch, wrzawa są duszą powyż-

szego zebrania, ożywionego krzykiem przekupniów i kupujących, rżeniem koni, pianiem kogutów.

Sród takiej to wrzawy, gwaru i krzyku wjechał zwolna wóz Bartłomiejowej za Żelazną-Bramę i stanął na boku. Basia zrazu trwożliwa jak jej gęsi utulone w słomie, podniosła wreszcie główkę, przypatrując się miastu i ludziom, to paniom, to wieśniaczkom siedzącym na ziemi obok stosów sałaty, szczawiu, szpinaku i rzodkwi. Szum i pisk odurzyły ją, katarynki grające po rogach ulic niesforną harmonią głuszyły dziewczynę, której oczy biegały z wozu na wóz, z przedmiotu na przedmiot, dziwiąc się wszystkiemu i wszystko uwielbiając. Ani głos matki, ani krzyk gęsi nie mogły jej wrócić do przytomności, dopiero przyjazd Małgorzaty, która umieściła swe wozy obok wozu sąsiadki, przypomniał jej chatę, wioskę, ją samą i obudził nanowo.

Małgorzata rozpoczęła rozmowę z żydami, odmierzając słudze garniec mleka i wychwalając swój towar; kupująca zapłaciła pieniądze, a stara kobieta zbliżyła się do wozu Bartłomiejowej, mówiąc:

— Matko, macie mleko i śmietankę?

Basia pokazała dzbany; kobieta sprobowała.

— Dobrze, namierzcie mi tę miarę; wezmę od was, bo nie chcę już od Małgorzaty, dodała, zwracając się do tłustej pani dwóch wozów. Ona się Boga nie boi, cały miesiąc przedawała mi wodę rozrobioną z potażem, mąką i jajami za śmietankę.

Tłusta wieśniaczka odburknęła coś z gniewem i namierzyła służącej masła.

Targ szedł na wszystkie strony, nieświadomi kupowali od Małgorzaty, doświadczeni robili jej wyrzuty, przechodząc koło woza; właśnie jakaś pani zatrzymała się i rzekła:

— Kobieto, Bóg cię skarze; oszukujesz ludzi. Tydzień temu sprzedałaś mi mléko zaprawne krochmalem, od którego dziecko mi się struło i chorowało ciężko. Nie chodzisz chyba do świętej spowiedzi i nie wiesz, że takiem oszustwem trujesz ludzi, bierzesz na siebie odpowiedzialność za ich życie i zdrowie. Bójże się Boga, a jeśliś taka kamienna, bójże się chociaż policyi, która ma prawo za to zamknąć cię do kozy i potłuc twoje dzbanki.

— Dogódźże tu ludziom, krzyknęła zuchwale mleczarka; znając mnie wszyscy, po ośm lat daję na gospody i nie narzekają.

Pani zdziwiona, wstrząsnęła głową i przechodząc do wozu Bartłomiejowej, mówiła dalej: a cały ten kłopot, choroba dziecka, przez ciebie Małgorzato.

Czemużeś we wtorek nie była na targu z mlekiem? rzekła następnie do Bartłomiejowej. Włościanka skłoniła się z uśmiechem i odpowiedziała:

— Imościulku, Jasiek mi chorował, gotowałam mu ziółka i pilnowałam.

— Wyzdrowiał już?

— Jakto dzieciak! skakał przed chatą, kiedym odjeżdżała, jednak jeszcze nie tęgi.

— Macie, widzę i gęsi, dodała pani, zaglądając do fury, podczas kiedy Basia podniosła w górę tłustą gąskę i na niej puch rozdmuchnęła.

— Jużci są, dziewczyna ukarmiła dwie, to i kazałam włożyć; może się kto trafi i kupi.

Pani zapłaciła za gęsi; Basia podała je uprzejmie służącej do kosza, chociaż prawdę powiedziawszy, zawsze jej żal było, kiedy matka sprzedawała jakiego ptaka, uchowanego w domu. Pani pochwaliła grzeczną dziewczynę i dawszy jej z kosza kawał cukru do ziółek dla Jaśka, przeszła do innej fury; Bartłomiejowa zaś spojrzała na córkę i rzekła uroczyście:

— Basiu, wiesz teraz, jakim sposobem Małgorzata ma więcej nabiału odemnie?

— Wiem matko, szepnęła upokorzona dziewczyna.

— Widziałaś, jak się obchodzą z oszustem, jak z rzetelnym, słyszałaś klątwę i dobre słowo ludzi?

— Słyszałam matulku.

— Cóż więc wybierasz, czy skromny lecz uczciwy wózek z mlekiem matki, która woli mniej zyskać pieniędzy, a służyć Bogu sprawiedliwie, czy dwa wozy mleczywa niesumiennej kobiety, co za nic sobie ma życie bliźnich swoich i oszukując ich na pieniądzach, zabija na zdrowiu?

— O! tylko uczciwy zysk jest dobrym, kto zaś frymarką chce się zbogacić, ten za grosz

nędzny sprzedaje sumienie i dobre imie. Nie dziwię się tobie, jesteś młoda dziewczyna; nie znałaś oszustw Małgorzaty, myślałaś więc, że pilność i praca przyczyniają jej zbiorów. Dziś ja ci odkrywam prawdę i przestrzegam, abyś w rzeczach zysku najpierw szukała uczciwości.

Gwar kupujących przerwał mowę poczciwej matki, wieśniaczka sprzedała resztę towaru i zakupiwszy soli, garnków, popędzała konia ku domowi.

Małgorzata patrzyła na nią zazdrosnem okiem, a widząc ją wcześniej wracającą do domu, pożegnała słowami:

— Wam z jedną woziną łatwo się obrządzić, nie tak jak mnie z dwoma wozami.

Po krótkim przeciągu czasu wóz był za rogatkami. Basia ucieszona, ogłuszona gwarem i turkotem miejskim, widokiem murowanych kamienic i gmachów, z radością powitała znów ciche, widne, obszerne pole, ponad którem niebo i niebo bez końca, i śród którego gdzieniegdzie rosną drzewa, pełne śpiewającego ptastwa. Radość jej była tem większą, gdy wróciwszy do domu, zastała znów przed chatą ojca, małą Ankę i gdy mogła Jaśkowi oddać cukier do ziółek, przysłany od dobrej i pięknej pani.

Tak się skończyła ta pierwsza przejażdżka Basi do miasta. Purpurowe makówki zwiędły i opadły w jej włosach, lecz w sercu została głęboko wyryta nauka matki, pamięć uczciwości i smutny przykład nierzetelnej sąsiadki, która podobno odtąd, zapatrując się na Bartłomiejową, więcej się zamyślała, więcej modliła, mniej klęła i mniej mleka wywoziła na targ.

Godziny po robocie.

III.

—

Pięknym i uroczym był wieczór, w którym się następnie gromada znanych nam już ludzi zebrała przed domkiem Dorosza. Po pracy, jakże słodkiem jest wytchnienie człowiekowi! P. Dorosz siedział właśnie przed dworkiem, a kiedy owi goście stanęli na dziedzińcu,

— Witam was, sąsiedzi, odezwał się do nich; a cóż mi tam powiecie nowego?

— Nic nowego, rzekł Bonek, stara bieda i jużcić.

— A cóż to takiego? zapytał doktor.

— Przednowek, proszęWgo dziedzica, skweres naokoło, trudno do *nowego* dociągnąć.

— Tem bardziej, kiedy i *starego* brakuje, wtrącił Grzegórz wyrobnik.

— A żelaza nie ugryzie, dodał Klepacz, kowal z Kalinówki, roboty zaś ani kszty, a tu żyć trzeba.

— A tu podatek opłacić trzeba, dodał inny.

— I obuwie sprawić.

— I dachem chałupę poszyć.

— O! potrzeby, te potrzeby, to prawdziwe nieszczęście człowieka, ciągnął Jacenty cieśla.

— Gadacie ot moi ludzie, jak dzieci, potrzeby... potrzeby. . a nie wiecie, że one to przyczyniają się wiele do szczęścia naszego.

— A to jakim sposobem, wielmożny dziedzicu, zawołano hurmem, toć to nowina niesłychana.

— Posłuchajcie tylko, a z uwagą, to się i zrozumiemy, odpowiedział Dorosz.

Człowiek ma potrzeby, których zaspokojenie jest warunkiem jego istnienia. Przychodzi on bowiem na świat nagi i bezbronny; aby się zasłonić przed słotą i działaniem żywiołów, potrzebuje domowej strzechy, a dla utrzymania życia, nie może się obejść bez pokarmu.

Dla zdobycia zaś żywności, ubrania i znalezienia przytułku musi się wziąć do pracy i wytężać siły rozumu i ciała.

— To wiemy, to wiemy, odezwano się gromadnie.

— Cierpliwości moi przyjaciele, posłuchajcie dalej.

A zatem człowiek w tem życiu, ciągnął pan Michał, ma liczne potrzeby, niezaspokojenie których sprawia mu troskę, nieukontentowanie, a nawet cierpienie. Lecz poddany jarzmu swoich potrzeb, człowiek może się oswobodzić z niego tylko przez zaprzężenie się do jarzma pracy; Bóg bowiem powiedział do pierwszego człowieka: w pocie czoła pożywać będziesz chleb twój.

— Na moje wyjdzie, przerwał Szlej, od *potrzeby* do *pracy* uciekać musimy, jak z deszczu pod rynnę.

— O! co prawda, to prawda, powtórzono tłumnie.

— Zaraz, zaraz, zrozumiejmy się lepiej, rzekł Dorosz. *Potrzeba* sama z siebie jest przykrością dla nas, ale zaspokojenie jej sprawia nam prawdziwą przyjemność. Czyż to nie miło np. po pracy i chodzeniu w spiekę około pługa, lub żniwa, napić się wody źródlanej, albo spocząć pod cieniem drzewa; lub przeciwnie, kiedy niejeden z was wraca w zimie z lasu głodny, zziębnięty, zdźwigany, czyżto nie jest przyjemnością, kiedy za powrotem do domu znajdzie ogień, który go ogrzeje i misę pełną ciepłego pokarmu, który go posili?

Więc Pan Bóg zawsze jak ojciec opiekuje się nami; dał nam potrzeby, kazał nam na ich nasycenie pracować, ale sprawił zarazem, iż zaspokojenie tych potrzeb staje się przyjemnością.

— Dobrze to jest, przerwał kowal, tylko że te przyjemności łatwiej przychodzą jednym, a trudniej drugim.

— Masz słuszność odpowiedział doktor; czy myślisz, że bogatsi są szczęśliwszymi od biedniejszych, dlatego, że im łatwiej zaspokoić potrzeby, nam wszystkim wspólne? O! nie, wcale nie; jeżeli bowiem przyjemność znajduje człowiek w zaspokajaniu potrzeb swoich, bogatsi, mając mniej nienasyconych potrzeb, mniej też doświadczają i przyjemności. Np. jeżeli jeden codziennie jada mięso, a drugi tylko raz w tydzień, ciekawy jestem, któremu z nich ono lepiej smakuje?

— To się wie, że temu, co go jada rzadziej, wyrwał się Grzegorz wyrobnik, który podobno i raz na dwa tygodnie nie spotykał się z mięsiwem; ale równo, dla tych, którzy nie mają czem zapchać gęby głodowi, albo biedzie, to i bieda tylko i umartwienie zostaje.

— Zgadzam się z wami Grzegorzu, ale też należy wam wiedzieć, że i potrzeby nasze są różne; jedne są rzeczywiste, konieczne, bez których się obejść nie można, np. jedzenie, napoje, przyodziewek, inne znowu tylko zbytkowne, np. ja pamiętam, że oto w Kalinówce przed laty bywało inaczej. Kolonista mieszkał w jednej chałupie z rodziną i dobrze mu było; dziś potrzebuje całego domku dla siebie. Córka i żona majstra lub fabrykanta chodziła w perkalowej sukience i bardzo była szczęśliwa; dziś już potrzebuje strojniejszej szaty, choćby się bez niej wybornie obyć mogła.

— O! prawda, przerwał nagle Jacenty cieśla, Kasia Terelanka, córka kolonisty z Jaworowa, jedynaczka pieszczona, co też zawsze narobi hałasu w domu o to, aby jej matka sprawiała stroje. Oho! niech no jej odmówi, co tam płaczu i termedyi!

— Do tego też zmierzam, mówił dalej Dorosz. Sami najczęściej stajemy się sprawcami naszych przykrości a nawet nieszczęścia; wielu ludzi pragnie najczęściej tego, czego mieć nie może. Jednak to pragnienie czegoś lepszego nie jest złem w człowieku, bo Stwórca sam wlał w serce nasze ową szlachetną dążność, która nam umila i lżejszą czyni pracę, i prowadzi do ulepszeń. Ale to jest nieszczęście, że my często zachcenia, które nam są przyjemne, lecz szkodliwe, zamieniamy w potrzeby nasze. Oto wam przykładem wyjaśnię lepiej. Jeżeli np. wy Bonku chcecie mieć lepiej uprawioną ziemię, aniżeli wasz sąsiad, to też i więcej dokładacie pracy i starunku, rozmyślacie nad tem i różnych do tego używacie sposobów. To to jest owo dobre, uczciwe wasze pragnienie. Ale jeżeli kto na ten przykład mając zagrodę włościańską, zapragnąłby mieć wieś całą, i nie zważając na sposoby nabycia majątku, z krzywdą innych do tegoby dążył, to i w duszy swojej zgotuje piekło i sam zginie, że mu nawet nikt ręki nie poda.

— Ho! ho! u nas to ręki nie podają, nawet takiemu, co naprawdę potrzebuje, przerwał Grzegorz wyrobnik, i gdyby nie krwawa praca tych 10 palców, toby człowiek i wyżyć nie potrafił. Któżby tam na drugich rachował?

— A jednakże, poczciwy Grzegorzu, zdziwisz się może, gdy ci powiem, że choćbyś był najbogatszy, choćbyś sobie i ręce upracował, to i tak bez ludzi obejść się nie możesz; bo usługi, jakie sobie wzajemnie oddajemy, zmierzają do tego, że łatwiej nam przychodzi i potrzeby nasze zaspokajać i świat ten tak jest urządzony, że każdy z nas to, co ma, winien w części pracy i trudom innych ludzi.

— Jak to? zapytał Grzegorz.

— A no, odpowiedział doktor, czy ty Grzegorzu, jeżeli masz nawet pieniądze, sam sobie zrobisz bóty, uszyjesz sukmanę, wyrobisz płótno na koszulę, i t. p.? Nie, i gdyby inni tego nie zrobili, toby ci i złote dukaty nie pomogły.

— A jużcić, rzetelnie, przyświadczył kowal.

— A zatem, ty Grzegorzu z jednej strony własną pracą zaspokajasz swe potrzeby, a z drugiej praca innych pomaga ci w tem wiele. Tobie nie jest potrzebnem żelazo, które kujesz, lecz staje się ono koniecznem Bonkowi do pługa i wielu innym. Zboże nasze idzie za granicę do obcych, a za to z tamtych krajów wiele rzeczy dla nas potrzebnych sprowadzają.

Tym sposobem potrzeby nasze wiążą ludzi w gromady, czyli *społeczeństwa* bo tylko przez zamianę wzajemnych usług istnieć możemy. Wy Bonku zbieracie zboże dla Klepacza, Klepacz wam okuwa pługi, Klepaczowi Baltazar wyrabia płótno na bieliznę, a Baltazarowi Jacenty wyrabia warsztat do roboty, a wszyscy musicie się znosić z sobą, zbierać razem, i ot tworzy się między wami gromada, ta łączy się tym samym sposobem z inną, a ztąd tworzy się *społeczeństwo* ludzkie. Więc nawet każdy z nas pragnąć winien, aby inni mieli jak najwięcej, nie zazdrościć bogatszym, bo oni więcej potrzebują usług i pracy od innych, a przez to dają sposobność do zarobku i odbytu rzemiosłom.

— Zawsze jednak biednemu wiatr w oczy wieje, odezwał się Grzegorz, i trudno mu przychodzi wypracować to, co mu potrzebne, a ludzie czy tam społeczność, jak wielmożny dziedzic nazywa, nic mu w tem nie pomogą, ale przeszkodzą jeszcze.

— Mylisz się mocno mój Grzegorzu; życie takie ludzi w *społeczeństwach* nietylko nie jest złem, ale dobrem i koniecznem, bo sam Pan Bóg tak urządził, a człowieka tak stworzył, że potrzeby jego, serce, cierpienia, zmuszają go żyć z ludźmi. Weźcie np. waszą gminę...

— Przecież gminę to pan Naczelnik powiatu zaprowadził, odezwał się ktoś ze zgromadzonych.

— Wyrwałeś się mój kochany, jak Filip z konopi, mówił dalej p. Michał, posłuchaj mię, a zrozumiemy się. Jakem to wam wyłożył, że konieczność zasycenia potrzeb naszych gromadzi i zbliża ludzi. Ale nie idzie o to tylko, aby jeden zrobił drugiemu obuwie, ten tamtemu pług, ów znowu innemu płótno na koszulę i t. p.; bo dajmy na to, zachoruje kto we wsi, to zaraz po radę lub pomoc do drugiego, powstanie pożar w chałupie, to wylatasz na dwór i krzyczysz na całe gardło pomocy sąsiadów, a kiedy ci kto umrze, albo z innego powodu smutek cię ogarnie, to leziesz do ludzi, aby z nimi pogawędzić o wspólnej biedzie, popłakać razem i jakotako się pocieszyć wzajemnie — i żebyś miał jeść i pić po uszy i najpełniejszy worek pieniędzy, to ci nie wystarczy, łez nie obetrze. Jest więc prócz picia i jedzenia inna wyższa potrzeba w człowieku, a tą jest *uczucie, w sercu twojem złożone*. Trzeba na to serca, by sercu twemu ulżyć. A zatem mój Grzegorzu, tak nasza gmina, jak cała ludzka społeczność jest urządzona przez Boga, bo jest potrzebą natury człowieka, warunkiem jego istnienia i rozwijania się i równąż potrzebą i serca naszego.

Tak samo jak w rodzinie naszej: kochamy się wszyscy, a społeczność jest wspólną wielką rodziną człowieka, w którą się jak najpowszechniej łączyć powinien przez uczciwe i stosowne małżeństwa, a nie żyć jak sęp odludny samotnie i luźno.

— To też to widać dlatego, wyrwał się Janek, czeladnik mularski, Mateuszek syn Jacentego tak zawsze rzuca oczami za Kasią Terelanką.

Śmiech ogólny rozległ się wokoło i gromada pożegnała wśród gwaru i wesołości progi zacnego doktora.

Jan Pawelec.

Rolnik i sołtys z Kobylnicy Nadwiślańskiej, zmarły 1856 *r.*

Jan Pawelec był gospodarzem rolnym we wsi Kobylnicy, należącej do dóbr Maciejowickich w gubernii Lubelskiej, powiecie Łukowskim położonych. Od młodych lat przypatrywał się pilnie rządnym gospodarzom, a szczególniej gospodarowaniu swego ojca. Od dzieciństwa podzielał chętnie wszystkie jego trudy; bo i w rolnictwie jak

w każdym zawodzie, kto chce pracą stać się użytecznym i drugim, musi zawczasu przypatrywać się dobrym przykładom i na nich się kształcić. Jan Pawelec tedy chociaż już miał lat około 40tu, często chodził do Podzamcza, gdzie staraniem ówczesnych dziedziców Ordynatów Zamojskich od r. 1818 założony był zakład, na kształcenie wzorowych parobków. Mawiał on nieraz: chociaż z chłopskim rozumem można sobie dać radę w życiu, ależ czemu nie korzystać z tego, co dobrzy panowie swoim rozumem, nauką i doświadczeniem dla dobra naszego postanowili? Więc żałując, że już sam nie mógł się wyuczyć w tym tak użytecznym zakładzie, przypatrywał się, ile mógł robotom rolnym parobków z Podzamcza; przepytywał to ich, to tych, co nad nimi dozór mieli, o rozmaite ułatwienia i ulepszenia w gospodarstwie. Nietylko to Jan Pawelec korzystał z tego wzorowego zakładu, bo parobcy, co z niego wyszli na gospodarzy, odznaczali się zwykle lepiej zastosowaną pracą, większą oględnością, przezornością i tym podobnemi przymiotami, tak wielki wpływ mającemi na byt rolnika. Dziś, kiedy przy rozwijaniu się zabiegów Towarzystwa Rolniczego wszyscy niemal dziedzice zajmują się gorliwie wzrostem krajowego rolnictwa i podniesieniem dobrego i moralnego bytu włościan, go dzi się z należną pochwałą wspomnieć miejsca, które przed czterdziestu laty już odznaczały się podwójnym celem, na który ówcześnie mało jeszcze zwracano uwagi, to jest postępu w gospodarstwie i wykształcenia zdatnych gospodarzy.

Istniejący przy samym dworze dziedziców Podzamcza zakład dla sposobiących się parobków, dzielnie wpływał na skierowanie chętnych ludzi ku dobrej drodze. Ztamtąd to tak Jan Pawelec, jak i wielu innych otrzymywali dobre rady i nauki, mieli wzór we dworze starań około pola, ogrodu i dobytku. Tam znajdywali pomoc do poprawy inwentarza, nasion i drzew owocowych. A częste odwiedziny obojga dziedziców prawdziwą zachętą były do poczciwego postępu. Zakład ten bez przerwy trwa dotąd, bo dzisiejszy dziedzic ma sobie za święty obowiązek utrzymać to, co ś. p. rodzice jego z takiem zamiłowaniem zaprowadzili i pielęgnowali.

Zwykłą w życiu rolników koleją ożenił się Pawelec i objął własne gospodarstwo po ojcu. Ci, co patrzyli na pierwsze jego kroki, zaraz przepowiadali mu przyszłość szczęśliwą i użyteczną. Rolę najlepiej i najwcześniej uprawiał, w porę zawsze obsiał, najobfitsze też plony zbierał; bo roli nikt nie oszuka i jak koło niej kto chodzi, taki też ona jemu plon przynosi. Inwentarz w jak największej liczbie i w najlepszym stanie utrzymywał, bo pamiętał, że gdzie go niema w odpowiedniej ilości, tam niema nawozu, a gdzie niema nawozu, tam i rolę próżno się tylko wysila. Dość powszechnego niestety u nas nałogu pijaństwa wystrzegał się jak grzechu śmiertelnego. Wiedział, że pijak nie dojdzie nigdy do niczego, że w wódce utopi pamięć o gospodarstwie, o rodzinie, o sobie samym, a co najważniejsza, o Bogu i o duszy swojej. Unikał tedy najstaranniej wszystkiego, co tylko wiedzie do tego szkaradnego nałogu i pilnował dzieci, aby broń Boże w wódce nie zasmakowały. A chronił ich od tego, dając z siebie dobry przykład i nauczając od maleńkości obowiązków człowieka względem Boga, ludzi i samego siebie. Codzień razem z żoną i ze wszystkiemi dziećmi rano i wieczór wspólnie pacierze odmawiał. Surowy w przestrzeganiu moralności, wolał ojcowską ręką słuszną karę wymierzyć, niżeli używać obelżywych wyrazów. Nigdy nie przeklinał, bo wiedział, że to więcej złego uczy, niżeli pomaga, a jest obrazą Boską. Był on jakby patryarchą w gronie swoich dziatek, razem z niemi siadał do obiadu i wieczerzy, razem kładli na swe czoła znak krzyża Sgo nim pierwszą łyżkę strawy do ust zanieśli, wieczorem rozporządzał jutrzejszą pracę i każdemu z synów stosowną czynność przeznaczał; a tak roztropnie wszystkiem kierował, że żadnego szemrania i nieładu nie było. Wyuczonych przy sobie w gospodarce, obsadzał na innych gruntach w tejże samej wsi czterech synów, piątego zaś na innej wsi; dwie córki dobrze wydał za mąż. Cieszył się, gdy go odwiedzili synowie z żonami, córki z mężami, gdy go wnuki i prawnuki otaczali; bo dał mu Bóg w błogosławieństwie swojem lat 80 przeżyć. Ale do końca dni swoich żadnemu z synów gospodarstwa nie zdał, nie chcąc (jak mawiał) przejść na łaskę dzieci, i aby nie patrzeć na odmianę swego gospodarowania. Do bry jego przykład nie zmarniał dla dzieci, bo jest ich

siedmioro dotąd żyjących, a tak co do prowadzenia się, jak i co do rządności w gospodarce pamiętają o radach i przestrogach ojca, zwłaszcza ci, co zamłodu wyuczyli się czytać i pisać w szkółce w Maciejowicach; bo to czytanie i pisanie do wiele dobrego dopomaga.

Nietylko rodzina kochała i szanowała Jana Pawelca, ale i sąsiedzi dali dowód zaufania, obierając go jednozgodnie sołtysem, które to dość trudne nieraz obowiązki z zadowoleniem dworu i gromady przeszło lat 30 sprawował; słowem, iż w każdym razie życiem cnotliwem i użytecznem starał się na łaskę i błogosławieństwo Boże zasługiwać. Szczęścia drugim nie zazdrościł, ale i owszem z dobrego powodzenia bliźnich cieszył się najgoręcej, z biednym i potrzebującym dzielił się chętnie chlebem, jaki miał z łaski Boga; kłótni wszelkich nie cierpiał, a swarzących się umiał trafnie do zgody nakłonić. Z żoną żył uczciwie i przykładnie, a tak ją wprawił do ochędóstwa i porządku, iż domek ich wyglądał jakby jaki dworek; kto wszedł do niego, to mu się wyjść nie chciało, tak tam było schludnie. Pawelec wiedział, że porządek jest źródłem dostatku, a czystość ochroną zdrowia; nie trzymał też cielęcia i prosiąt w izbie, a dbał o to bardzo, aby powietrze w mieszkaniu było czyste.

Aż się miło oddychało, wszedłszy do ich mieszkania czysto wymiecionego, gdzie stoły i ławy, stołki i wszelkie statki poszorowane, żeby się w nich przejrzeć można, a każda rzecz na swojem miejscu. Łóżka porządnie usłane, święte obrazy w ramach za szkłem na ścianie, doniczki z lakiem i z rezedką na oknach, kropielniczka z wodą święconą przy drzwiach, gromnica i wianki święcone nad Obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, na pułkach miski i garnki, w dwóch okutych skrzynkach poskładana odzież. W komorze pełniusieńko rozmaitych zapasów żywności, w oborze tak czysto i wygodnie, jak u innych i w izbie tak nie jest. Zabudowania inne, jakoto: stodoła, chlewy, stajenka, kurnik, gołębnik, wszystkie całe, prosto stojące, bez dziur w dachach i podpór pod ścianami. Sam Pawelec założył obok domu piękny sad owocowy, a w nim dość liczną pasiekę i miał z jednego i z drugiego wygodę i przysmaki dla siebie i rodziny i dochód też niemały. Tak dalece rządność, gospodarność i patryarchalne życie jego zwracało na siebie uwagę, że dziedzice dóbr Maciejowickich, tak dawniejsi jak i dzisiejsi, niejednokrotnie dawali go za przykład innym włościanom, a przybywających do siebie w gościnę obywateli, zawozili do Kobylnicy do osady Pawelca, aby im pokazać, do czego dojść może polski włościanin przy zamiłowaniu pracy, porządku i moralności.

Osiągnąwszy Pawelec lat sędziwych błogosławieństwo Boże na dzieciach i mieniu, często przemyśliwał o śmierci, a coraz gorętszą modlitwą przysposabiał się do przejścia z życia doczesnego w wieczne. Gdy go Bóg powołał do siebie, dozwolił mu zupełnej przytomności i gotowości na wezwanie Pana nad Pany. Opatrzony SS. Sakramentami pobłogosławił rodzinę, rozrządził majątkiem i zakończył żywot pełen uczciwej pracy.

W Bogu i w usiłowaniach obywateli nadzieja, iż kraj nasz będzie coraz więcej obfitował w takich włościan jak Jan Pawelec. Wioski nasze i pola inną przybiorą postać, polepszy się społeczność ludzka, ustąpią nędze i utrapienia w ślad za nierządem idące, zmienią się nałogi niedbałych rolników, a zakwitnie dobry byt, trzeźwość, spokojność, pracowitość, prawdziwa bogobojność, i o ile można na tym świecie, istotne szczęście śród naszego kochanego, poczciwego ludu.

Zdania.

1. Nie odstręczaj się trudnością rzeczy; praca wszystko zwycięży.
2. Ostrożnie i wedle miary, szafuj słowa i talary.
3. Najprędzej błądzi, kto prędko sądzi.

Znaczenie Zagadki w poprzednim numerze zamieszczone jest: **Igła.**

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować. — Warszawa d. 9 (21 czerwca) 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*